

POGADANKI STAROPOLSKIE.

Konfederat barski.

W bawialnym pokoju, czyli w salonie, (jak go nazywała panna Domicela, od czasu swego pobytu w Warszawie, u cioci szambelanowej), w poobiedniej porze, siedziało trzy osoby, już nam znane. Pani chorażyna na kanapie, odmawiająca cichym głosem różańcowe modlitwy; panna Domicela pod oknem, zajęta czytaniem nowego romansu, pod tytułem *Żale Elwiry*, a przed kominkiem, przy okrągłym stolyczku, pan choraży grał w warcaby z panem Wojciechem Bębnowskim.

Pan Wojciech, niegdyś porucznik w Konfederacji Barskiej, był to starzec siedemdziesięcioletni, otwły, rumiany, z białym, zawieszonym wąsem. Po różnych życia swojego kawałkach, straciwszy do reszty fortunę, jaką posiadał, znalazł schronienie w domu chorażego, przyjaciela młodości i dalekiego krewnego. Siedział więc przy nim, jak to mówią, na respekcie, albo (że tu użyję jeszcze lepszego wyrażenia w naszym malowniczym języku) bawił u chorażostwa. Istotnie, że bawił, bo miał humor jowialny, dużo wiadomości, zapas anegdot i historyjek, a był gadułą nad gadułami.

Chorażyna domawiała właśnie litanii do Wszystkich Świętych, chorażanka zaczynała najciekawszy rozdział „*Żalów Elwiry*“, choraży, dojeżdżając do drugiej damy, wołał z tryumfem: przegrałeś mój drogi! gdy turkot pojazdu ozwał się na podwórzu. — Goście jada! — rzekła gospodyni, a pan Wojciech, posunawszy się do okna, powiedział:

— To pan kapitan z Lipowej Woli!

Panna Domicela spiekła raka, podniosła się, poszła przed lustro uporządkować rozpierzchnięte na wzór wierzb płaczących pukle. Pani matka poprawiła jej zgniecioną kryzę u kołnierzyka i obciągnęła na ramionach jedwabną chusteczkę; choraży powstał z krzeselka dla przyjęcia gościa. W tej samej chwili drzwi salonu otwarły się i wszedł rośli i przystojny mężczyzna, mogący mieć około czterdziestu lat, pan Sulimski, dawny kapitan za Księstwa Warszawskiego, a na teraz gospodarz w dziedzicznej swojej wiosce, o dwie mile odległej.

Pan kapitań konkurował już blisko od roku o rękę panny Domiceli, ale do małżeństwa jeszcze nie przyszło, bo choraży chciał, żeby młodzi lepiej się z sobą poznali. I raz, gdy go nagliła żona, aby rzecz zadecydować, odpowiedział:

— Przeciw kapitanowi nie mam nic: człowiek majątny, przyzwoity i nie głupi, dyshonoru nam nie zrobi, lecz nie lubię takich nagłych, nowomodnych małżeństw, co to po zrobionej znajomości w zapusty na reducie idą przed ołtarz w dzień św. Józefa. Pamiętasz, kochaneczko, żem przez trzy lata z okładem palił cholewki do jejmości i, mimo zabopólnych afektów, ledwie na początku czwartego roku, ulitował się jegomość ojciec nad nami niebożętami, usychającymi w miłości. Łacinnicy mówią *festina lente*, co znaczy, kochaneczko: Spiesz się powoli. Zatem, kapitan i Misia mogą jeszcze poczekać!

Przybyły gość uściśkał rączki damom, dwóch starców pocałował z respektem w ramię i, gdy wszyscy na nowo usiedli, rozpoczęła się ogólna rozmowa.

— Cóż tam, sąsiedzie — rzekł pan choraży — droga niegodziwa, wyboje w lesie, a na oparzeliskach, koło murowanej karczmy, musi być błota po same szynkle?

— Nie tak bardzo źle — odpowiedział kapitan — bo podeszło trochę, a potem (tu rzucił czułe wejście na chorażankę) przewrotność nawiedzenia szanownego domu waszmość-państwa dobrodziejstwa i złożenia im powinnoego uszanowania, nie pozwalają myśleć o niewygodach podróży.

— Do swej niebogi niema złej drogi — przerwał, uśmiechając się, pan Wojciech.

Domicela spuściła oczy, a chorażyna, żeby pokryć ambaras córki, zwróciła rozmowę na co innego, zapytując:

— Wszak pan w tych dniach wrócił z Warszawy? Cóż tam słyhać nowego w stolicy?

— To, co i dawniej, pani dobrodziejko! Po ulicach ruch i hałas, w domach się bawia, w teatrach pełno ludzi! — Wielki książe musztruje swoje pułki na Saskim placu, wymyśla, i do kozy wsadza; a gdzie się obrócić, pełno policyantów i szpiegów!

— Oj tak, złe czasy! — rzekł wdychając choraży — aleć przy Bożej pomocy tak zawsze nie będzie! Wolność powróci jeszcze kiedyś na tę nieśczęśliwą ziemię! My, starzy, może już nie obaczym tej chwili, lecz młodzi obacza!

Wpadłszy na ten tor, skierowała się rozmowa ku dawniejszym wypadkom politycznym. Pan Sulimski opowiadał o napoleońskich kampaniach, a nade wszystko o bitwie pod Lipskiem, gdzie był ranny. Choraży przypominał kościuszkowskie czasy, a pan Wojciech z kolei, zaczął dowodzić, iż nie było na świecie wojny zaciętszej i ciekawszej, jak za konfederacji Barskiej.

— Masz rację, panie Bębnowski — rzekł kapitan — że wasza konfederacja była ostatnią wojną szlachecką i że takich wojen już więcej nie będzie. Chwała Bogu, że nie będzie! bo ja, przyzwyczajony do porządku i karności wojskowej, nie mogę ścierpieć ruchawki. Piękna mi to wojna wasza! Jaki taki szlachcic, jeden w sutym kontuszu, drugi w obzarpanej taratance, ten w wilczurze, tamten w płóciennym opończy, siadał na lichą szkapinę; wór, napchany grochowinami, służył mu za siodło, dwa postronki z pętelkami za strzemiona! pałask w węgorzej pochwie i zardzewiała rusznica za broń; a potem hajże gęsiego przez bory i lasy póki się nie nagabało kozuniów albo jęgrów — albo póki jegomość nie zatęsknił do domu i bez opowiedzenia się komendantowi nie wrócił na ciepłe piwko do jejmości. Gdyż Bóg świadkiem, znałem jednego szlachcica w Czerskiem, który, nominowany przez regimentarza rotmistrzem, prowadził swój oddział przez cztery mile, a potem, przynomiawszy sobie, że ma żonę, dzieci i wioskę intratną, westchnął nieborak i, zdawszy komu innemu dowództwo, wrócił spokojnie do siebie — i do samej śmierci nosił tytuł rotmistrza... czteromilowego.

Kobiety parsknęły śmiechem, a pan Bębnowski zawołał:

— Wolne żarty, mocipanie; ale tak źle się nie działo, jak wasan mówi. Byłyć prawda włóczące się po kraju tu i owdzie drobne kupki zbieraniny i talałajstwa; lecz niema reguły bez wyjątku. Główne siły konfederacji, pod Pułaskim, Zarembą, Walew-

skim Malczewskim i innymi marszałkami, miały dobre tonie, jednakże moderunek i nie różniły się niczem od wojsk komputowych. — Granatowa kurta, żupan i rajtuzy czerwone, pas wełniany, czworograniasta czapka z barankiem, flintpas i ładownica łosiowa; za uzbrojenie szabla, karabinek i para pistoletów w olstrach — oto miałeś prostego konfederata. A każdy oficer, mocipanie, jak wdział mundur wyszywany galonami, szarą jedwabną, srebrną masywną ładownicę i sute szlufy na obudwu ramionach, to wyglądał paradniej może, niż wasz marszałek francuski.

— Co prawda, to nie grzech — przerwał choraży — przypominam sobie, że kończąc szkoły w Piotrkowie, widziałem komendę pana marszałka Cieleckiego, starościca zgierskiego. Żołnierze mieli ogarnięcie chędogie i doskonałą armaturę; a z pana marszałka, to srebro prawie kapalo i, nie przymierzając, wyglądał w atlasach, aksamitach i haftach, jak jeden z trzech króli jasełkowych!

— Co zaś do odłączenia się dowolnego od komend — rzekł dalej pan Wojciech — i niesłuchania starszych, temu przeczę mocipanie; był rygor wielki i niejednego paniczka za niesubordynacyjne sprawki dostał w łeb kulą bez pardonu — n, p. tacy Gogolewski, Kawecki, Wyganowski itd., których ani szlachectwo, ani orędownia koligatów nie wyprosiły od śmierci. Wojna zaś cała nie była tak licha, mocipanie, kiedyśmy przeciw forsie rosyjskiej i wojskom królewskim pod Branickim i Byszewskim przez całe pięć lat się trzymali! I byłibyśmy nigdy nie upadli, gdyby się był Austryak i Prusak do swego koligata nie przyłączył. (Dokończenie nastąpi).

Wskazówki dla młodzieży.

Bać się Boga i czcić go — to najpierwsze prawo! Sumienie i szlachetność są życia podstawą.

Bądź synem szanującym — krewnym najżyczliwszym,

Wybieraj przyjaciela, by był najcnotliwszym;
Dla młodszych — swym przykładem, jak pochodnia, świeć!

Wykonać wszystko można, byle tylko chcieć...

Zmysły i namiętności niech rozum ostudzi,
Zapanuj nad wzruszeniem, jakie gniew w nas budzi,
Poskramiaj sen, miń stoły obficie zastawne,
Nic nie czyń, co by drugim nie mogło być jawne —
Nic nie rób, co w skrytości upokarza ciebie

I rani ten szacunek, jaki masz dla siebie.

Niech sąd zdrowy cię uczy widzieć okiem własnem,
Co jest złem — a co dobrem, co ciemnem lub jasnem.

W dniach twych krótkich, ta prawda niech będzie wiadomą,

Że przyjemność trwa chwilę — wielkość jest znikomą,

Że majątek kaprysem losu się rozplynie,

Jedna śmierć tylko pewna, nikogo nie minie!

Przenoś więc bez szemrania, z odwagą i stale,

Troski i przeciwności, dane ci w udziale.

Wierz, że jest nieśmiertelny nad światem obrońca,

Który tych, co weń wierzą, nie zgębi do końca...

Zgłębiał to i rozważał, co się zwie nauką

I nie daj się omamić zwodną fałszu sztuką;

Pomiń przedmioty, jakie trudno ci zrozumieć
I naucz się dokładnie to, co możesz, umieć.
Zaczawszy jaką pracę — rozważ, co w niej zmienić,
Jeśli za swe postępkę nie chcesz się rumienić.
Biada! kto nieroztropność po niewczasie pozna
I przez swą lekkomyślność strat i żalu dozna!
Aż dnia pewnego, gdy śmierć przyjdzie i rozkruszy

Glinę, co była ciemnem więzieniem twej duszy,
Na wozie jaśniejącym, ciągnionym mądrością,
Daleki od miejsc, ludzką zatrutych słabością,
Wstąpisz w sferę właściwą, co się niebem zowie.

Człowieka nie z postawy, ni z jego odzieży,
Ale z dobrych postępków poznawać należy.

NIECO O GWIAZDACH.

(Ciąg dalszy).

Gwiazdy spadające.

Każdy z nas widział niejednokrotnie w piękną, pogodną noc letnią gwiazdy przesuwające się, lecące nieraz z ogromną szybkością przez niebo. Pozo-



Obrazek z Paryża,
przedstawiający spustoszenie, spowodowane przez
powódź.

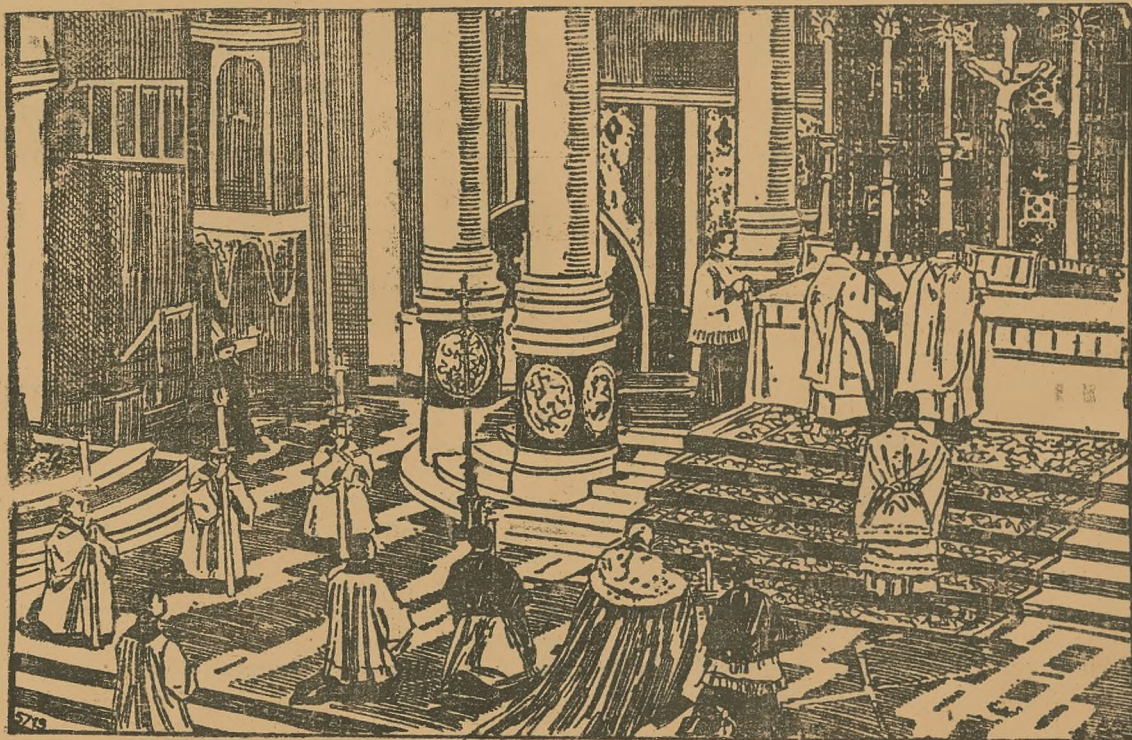
stawiają one po sobie jasną smugę, która po chwilice niknie. Są to tak zwane gwiazdy spadające. Ale czy są to w istocie gwiazdy? Czyż gwiazdy mogą się od nieba oderwać i spadać ku ziemi? Nie. Teraz, kiedy już wiemy, że niebo nie jest sklepieniem błękitnem, na którym by gwiazdy były uczepione jak lampy, i że ziemia nie jest podstawą wszechświata, nie możemy sobie tego nawet wyobrazić. Czemże jest ta ziemia nasza wśród ciał niebieskich? Jedną z planet i to mniejszych. A gwiazdy? Są to słońca olbrzymie, podobne do naszego słońca, a tylko ogromna odległość sprawia, że wydają nam się świecącymi punktami. Skoro tedy gwiazdy są takimi słońcami, trudno przypuścić, by nagle jedno z tych słońc wyrwało się ze swej zakreślonej drogi i stoczyło na naszą małą kulę ziemską. Gwiazdy spadające nie są ani gwiazdami, ani planetami. Raczej mają pewne podobieństwo do komet. Są to małe przedmioty, które krążą po przestrzeni. Jedne z nich są złożone z ciał stałych jak z kamieni lub metali; inne są tumanem kurzu; inne wreszcie są zwykłą, lekką parą. Krążą one wokół słońca, zakreślając elipsy mniej więcej tak samo jak komety. Lecz ponieważ są one tak małe, przeto zwykle ich nie widzimy. Cała przestrzeń, w której ziemia się porusza, przepełniona jest temi małymi ciałkami, które szybko we wszystkich kierunkach krążą. Ziemia ciągle na nie napotyka, podobnie jak piłka rzucona w powietrze napelnione prochem lub piaskiem. Te ciała małe spotykają zatem ziemię na jej drodze i zapuszczają się mniej lub więcej głęboko w powietrze, stosownie do kierunku, w jakim się poruszają. A ponieważ lecą bardzo prędko, przeto dostając się w nasze powietrze, doznają tak silnego tarcia, tak wielkiego oporu, że silnie się rozgrzewają i zapalają.

Choćby były tak wielkie jak dom, to w tej wy-

sokości, w jakiej przecinają powietrze, wydadzą się nam one tylko punktami świecącymi, lecącymi szalenie prędko. Lecz świecą one tylko w chwili przejścia przez atmosferę naszą, a gdy z niej się wydostaną, biegnąc dalej po swej drodze, stają się znowu ciemnymi i niewidzialnymi.

Małe te ciała, zwane gwiazdami spadającymi, nie są wszędzie w równej ilości rozsiane w przestrzeni na drodze ziemskiej. W niektórych miejscach jest ich więcej, gdzie indziej mniej. Jest ich najwięcej w miejscu, przez które ziemia przechodzi około 10-go sierpnia i 13-go listopada. To też w nocach tych (9, 10, 11 sierpnia i 12, 13, 14 listopada) widać bardzo wiele gwiazd spadających. Patrząc się na te ciała lecące, pytamy się mimowolnie: skąd biorą się te odłamki materii w przestworzu? Może są to resztki jakiegoś światła rozpadłego, starożytnego na proch w przestrzeni niebieskiej? A może to są resztki materii, z której utworzona jest ziemia, inne planety i komety, tylko że nie zebrały się one w jedną większą masę, lecz pozostały w przestrzeni rozdrobnione.

Te odłamki materii, błądzące w przestrzeni, spotykają w drodze swej ziemię i przechodzą przez jej atmosferę jako gwiazdy spadające. Lecz czasem, zależy od kierunku, w jakim są rzucone, wnikają one głębiej w nasze powietrze, zbliżają się do ziemi i wtedy widzimy nie gwiazdę małą, lecz kulę ognistą, czasem bardzo dużą, jasno świecącą, która z wielkim hałasem przerzuca powietrze, zostawiając za sobą smugę świetlaną. Te kule ogniste nazywano bolidami. Czasem bolid taki przesunie się przez niebo i zniknie, lecz czasem rozpada się w powietrzu, cicho lub nieraz z łoskotem i cząstki jego spadają na ziemię. Nieraz cały bolid spada na ziemię i ciężarem swoim w nią się zagłębia. Wtedy



Nabożeństwo w katedrze św. Jerzego w Londynie w dzień Matki Boskiej Gromnicznej.

można znaleźć na ziemi kawałki kamieni gorących, które wnet ostygają. Te kamienie spadły z nieba noszą nazwę aerolitów.

Aerolity są to kamienie szarawe, które zawierają żelazo. Czasem są z czystego żelaza, które nawet kuć można. Wielkość ich jest rozmaita, bywają małe, drobne, a czasem znowu znacznej wielkości, tak, że zabić mogą człowieka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkoda z wierzchu kitajki na drzwiach wieszać
drogiej,
Kto wewnątrz na rogoży zwykł legać ubogiej.

ZE WSPOMNIEN HISTORYCZNYCH.

Dnia 21 lutego 1454 r. odegrał się w Polsce fakt olbrzymiego, powszechno-dziejowego znaczenia. Kiedy król Kazimierz Jagiellończyk bawił się godami weselnymi w Krakowie, przybyli doń posłowie pruscy, Jan i Gabryel Bajsenowie, Augustyn Szewc i dziesięciu innych, oddając całe Prusy pod władzę króla polskiego.

Stan Prus pod jarzmem Zakonu krzyżackiego był rozpaczliwy. Upokorzony Zakon na polach Grunwaldzkich rozpasał się w swem państwie, zbudowaniem na rozboju, na wszelkie nadużycia. Ucisk sięgał niesłychanych, niezwyklej rozmiarów. Odebrano wszystkim miastom t. zw. prawo chełmińskie, nadając im pewien rodzaj samorządu. Rozszerzyło się pieniacтво, umyślnie przez Zakon podsycane, gdyż wycieńczając lud, przynosiło krzyżakom pieniężne korzyści. W razie jeżeli kto umierał bez zostawienia dziedziców męzkich, własność jego przechodziła na rzecz skarbu, wdowy i sieroty żeńskie odsuwane były od udziału w spadku. Wszelkie, choćby najlegalniejsze zapisy, nie miały żadnej wagi. Podatki i daniny przechodziły wszelką miarę, stąd ogólna w kraju nędza. Zboże w jesieni zakupywał Zakon za bezcen pod przymusem, a na przednówku odsprzedawał za wysokie ceny. Robocizny i daremszczyzny koło zamków, dróg i mostów były niesłychanie uciążliwe. Lichwa i krzywoprzysięstwo były na porządku dziennym.

W takim stanie związek „jaszczurczym” zwany, założony w r. 1397, pierwotnie jedynie w celach prywatnych, podjął się obrony kraju. Stanął na jego czele Jan z Czegenburga, Eichholz, Szewc, Jan Bajzen „bazyliszek, kulawy smok”, jak go zwiąż kroniki krzyżackie i inni. Związek groźnie się stawiał krzyżakom, odwołał się do Polski. Zakon w odpowiedzi na to począł ściągać wojska z Niemiec, wzmacniać załogi w zamkach. Związek wydelegowawszy z łona swego tajny wydział z 12 osób, zaciągnął także wojska i powołał na ich dowódcę Mikołaja z Targowicy; w końcu wysłał posłów do Kazimierza, podając Prusy pod jego władzę.

„Przychodzimy do ciebie królu — mówił „kulawy smok” Jan Bajzen — jako do opiekuna, założy-

ciela, kollatora Zakonu, do prawego pana Pomorza i ziem: Chełmińskiej i Michałowskiej; przyczyniamy, abyś nas wcielił do państw twoich, od których niegdyś byliśmy oderwani; abyś nie gardził powracającymi do jednośc. Dobrowolnie oddajemy się pod rządy twoje. Czyż od podania nam ręki, wsirzynacby cię miało przymierze z Zakonem? Królu! niech cię poruszają nie tylko lzy nasze, ale i tych co w domu, wśród trwogi i nadziei, czekają naszego powrotu i twojej odpowiedzi, która albo przyniesie im radość, albo ich w ostatniej pograży rozpacz”.

Następstwem tego była długa, krwawa, uciążliwa, dwanaście lat trwająca wojna, zakończona dla Polski zwycięsko traktatem Toruńskim.



Obiad węża dusiciela.

Niedawno temu zabito na wyspie Jawle węża dusiciela (boa), który miał w żołądku swym dżiką świnię, ważącą 40 klgr. Wąż miał 5 metrów długości i leżał nieruchomy, z wzdętem cielskiem tak, że myśliwi bez trudu ubili go trzema strzałami. Węże dusiciela jadają jak wiadomo tylko co 2 lub 3 tygodnie, gdyż tyle właśnie czasu potrzebują, aby strawić to co połkną. Podziwiać trzeba rozciągliwość paszczy węża, przez którą przecięśnie się całe zwierzę, choć z pogniecionemi poprzednio kośćmi; zresztą podziwienia godny jest także żołądek tego gadu, zdolający strawić całe zwierzę wraz z kośćmi, skórą i sierścią.

Nakładem „Górnoślązaka,” sp. wyd. z ogr. odp. w Katowicach. Czcionkami „Katolika,” spółki

— Za redakcją odpowiedz. Janina Omańkowska w Bytomiu. wyd. z ogr. odp. w Bytomiu.